



ZABA



Bezpłatny dodatek humorystyczny, wychodzi co tydzień.

Rozrywka jest najlepszym lekarstwem na wszelkie dolegliwości.

Rajze 1 godki Gustlika Kocyndra.



Dyć zech sie dowiedział, iże bez mała adwokatów za kans jest na świecie. Jo, Gustlik Kocynder, temu wierzyć nie chca, boch sie ło tem jescie nie przekonol, bo jo sie jest som rechenwaldem, alech roz cytol, camu to tych rechenwaldów tak kans jest, to wom tez ło-powiem:

Był roz adwokat jeden, strasny pieniaka, miol ogromną buzię, bo najzawilse sprawy umiol jescie bardziej zagmatwać i pokręcić, paragrafy prawa urobiol w gębie jak chleb w palcach, z czornego robił białe, i gdy mu potrzeba było, wykazywoł z rachunkową ścisłością, ze dwa i dwa daje pięć. To tez bołli się go sędziowie a złodzieje nazywali patronem swoim i królem, bo przed sądem tak był wymownym dla nich obrońcą, ze nieroz prokurator oskarzenie cofol i z biretem w rękę wśród przysięgłych składki dla oskarzonego zbierol.

Ale roz adwokat ten zachorowol ciężko i na nic sie zdały pigułki i różne mikstury, na nic plastry i inne leki. Było z nim coraz gorzej, aż wlaźła śmierć do jego pokoju i mówi:

— Chodź bratku!

— Poleku, serdeńko, — rzecze jej na to adwokat. — Chcesz mnie zabrać, a z jakim prawem?

I po tych słowach sięgnął po kodeks cywilny i po ustawę karną, i nuz jej cytać różne paragrafy i udowodniać, ze ona nie ma do niego nołmniejszego prawa.

Śmierć jako, ze zawse sprawiedliwością rządzić sie musi, napocła sie z nim kłócić i na wsystko miała gotową odpowiedź. Trzeba tez przyznać, ze miała jadaczkę, jak przekupka na rynku, a kręt z niej był większy od niejednego, który juz nawichrzył i namacił, a mimo to ciągle na wierzchu pływoł.

Prawowali sie w ten sposób przez 13 godzin, śmierć sie przekonała, ze nie sprostą adwokatowi, i wrescie, dawsy za wygraną, chciała odejść od niego.

— Hola! poleku! — krzyknął adwokat, i złapawszy ją za prześcieradło, zażądał, azeby mu zapłaciła kosztą tego prawowania sie z nim oraz odszkodowanie za 13-godzinną konferencyę.

Śmierć przestraszyła sie, bo była gołą, jak pisarek pod koniec miesiąca, i nuż adwokatowi się zaklinać, ze według ustaw niebieskich nie wolno jej być posiadaczką pieniędzy, ze ślubowała ubóstwo po wiečne casy — ale adwokat, stary zdzierca, powiedziol, ze go to nic nie obchodzi, i ze prądrzej z pokoju jej nie wypuści, dopóki rachunku mu nie zapłaci.

Widząc jednak w końcu, ze babkę wiatrem i kośćmi cuć, nie pieniędzmi, zafantowol jej prześcieradło i kosę, a gdy i to nie wystarczyło, ze skóry odarł i za drzwi wyrzucił.

Od tego casu śmierć tylko niechętnie po adwokatów chodziła.

Na dzisiejszego dość, bo tez nie mom wiela casu, na insy roz więcej. Do widzenia!

Gustlik Kocynder.

Skora wdowa.

Wdówka: Nikt nie zdoła zająć miejsca mego ukochanego zmarłego męża...

Kawaler: Ja... chciałem...

Wdówka: O, to co innego! Kiedy pan chce...

Kawaler: Ja chciałem... powiedzieć, ze to bardzo ładnie z pani strony.

Przygoda Jaśka na jarmarku.

W przeszły tydzień, we środę, na jarmarku
byłem,
Dużo miałem kupować, a nie nie kupilem;
Koledzy i znajomi tak mnie obmotali,
Że mi i chwilki czasu na kupno nie dali.
Zaledwie żem z kumotrem wypił szklanę
piwa,

A już drugi koleżka głową na mnie kiwa,
I kieliszkiem gorzałki zaraz do mnie pije,
Więc pije ja — ktoś z tyłu po plecach mnie
bije.

Oglądam się, to jeden z znajomych waszeci,
Inny przez stoły, ławki, także ku mnie leci,
Więc pije ja — ktoś z tyłu po plecach mnie
Który już podśpiewuje: „Danaż moja dana.“
Wreszcie wszyscy za stołem siedliśmy w o-
koło,

I pijemy jak „mury“ śpiewając wesoło.
Jam się tak rozechocił i wódkę płaciłem,
Że za jakie dwóch godzin sześć marek stra-
ciłem.

Gdym wychodził z za stołu, to mną popy-
chało,

Jarmarku już nie było, wszystko odjechało,
Całe miasto się ze mną w koło obracało,
Dalej już nie pamiętam, co się ze mną stało.
Aż na drugi dzień rano, gdy się przebudziłem
Mokro, zimno mi było, oczy otworzyłem,
Nie mogłem się zmiarkować, gdzie ja się o-
bracam,

Pleniędzy nie znachodzę, choć kieszenie
macam.

Dopiero sobie zwolna wszystko przypomniałem
Jak wczoraj na jarmarku gorzałkę spijałem,
Obiema się rękami poczną drzeć za włosy,
I wyłażę na drogę, ubabrany z fosy.

I idę osłabiony głowę sobie smażę,
Jakże ja teraz biedny w domu się pokażę,
Co powiem, jeśli się mnie, moja żona spyta,
Gdzie sól, gdzie buty, kozuch? (a zła to kobieta.)
Już nie powiem, z powrotem, jakim cierpiał
męki

Tydzień już, a wpływ czuję jej potężnej ręki,
Lecz przysięgam jej wtenczas, może ze sto razy
Że już nie tknę językiem tej boskiej obrazy.



UMIAŁ SOBIE PORADZIĆ.

Mówicie mi — pisz humoreskę. — Ba! ale
jaką? Hm!... Już wiem. Napiszę o zabawnym
wypadku z lat myśh dziecinnych, który niech
czytelnikom „Żaby“ wyjdzie na poclechę, oraz
niech świadczy o mym chłopięcym dowcipie.
Było to tak: Ojciec kazał mi paść na pastwisku
dwa młode figlarne cielęta. Cielaczki były śli-
czne, ale zuchwałe. Podjadły sobie dobrze —
no i zaczęły brykać na dobre. Uciekły z pa-
stwiska na łąkę, z łąki do zboża. Ludzie po-
wypadali z domów z kijami i krzykiem, woła-
li na mnie, krzyczeli na cielęta. Złąkłem się

i przestraszyłem bardzo. Zacząłem płakać i
wołać o pomoc, nic nie pomogło. Cielęta do-
kazuja, robiąc szkodę. Mnie wstyd, że nie mo-
gę sobie dać rady z cielętami głupimi. Wtedy
to błysła mi myśl, iście genialna. Wiem, co
zrobię — pomyślałem sobie. Zwiążę cielęta o-
gonami ze sobą i będę miał spokój. Urwałem
wiązkę koniczyzny i wołam na cielęta: cieliś,
celiś! Przyszła do koniczyzny jedna cieliczka,
przyszła i druga. Dobrze! Już wy mi teraz
nie będziecie borykać. Jedną ręką daję koni-
czynę, a drugą wiążę cielęta ich własnymi o-
gonami. Spociłem się cały, bo ogona nie mo-
żna było tak łatwo jak powrozka na kobyłkę
zawiązać! Ale w końcu dokonałem dzieła ar-
cymisternego. Cielęta związane ogonami puś-
ciłem na paszę! Cieszę się niezmiernie, że mi
się udała sztuczka. Oglądam się wokoło, czy
ktoś z ludzi widzi i podziwia mój dowcip z
cielętami! Tak, ludzie istotnie patrzyli i śmia-
li się zarazem w kułak. Nie wiedziałem tyl-
ko, z kogo oni się śmieją, czy ze mnie? czy
z cieląt? Radość jednak moja nie trwała dłu-
go. Cielęta, spętane ogonami ze sobą, zaczęły
się wzajemnie szarpać ogonami. Miasto sku-
bać trawę i spokojnie stać, zaczęły na nowo
gonitwę po pastwisku. Ryczą i beczą Nielito-
ściwie, kopiąc się nawzajem. Ja znowu w stra-
chu. Ludzie gromadzą się wkoło mnie i cie-
ląt i kładą się ze śmiechu na ziemię. Czekają
wszyscy, co z tego będzie! Nakoniec bek nie-
litościwy wyrwał się z gardła jednego cielęcia.
Cielę urwało się od drugiego, ale całkiem bez
ogona! Cielęta ryczą, i ja także ryczę. Wtem
widzę już przed sobą ojca z kijem, widzę, jak
zbliża się zagniewany do mnie. Drzę na całym
ciele. Koniec straszny tej całej tragedii ciełę-
cej. Cielęta pobiegły same do domu. Ojciec
mój wyrwał ogon cielęcy, urwany i zaczął
mnie okładać na dobre urwanym ogonem po
plecach. Wrzeszczę, krzyczę w niebogłosy. Bła-
gam o litość ojca, nic nie pomaga. Ojciec bił
mnie ogonem cielęcym. Po każdym uderzeniu
dodaje: masz ogon cielęcy! Mdleję od bólu.
Zdaje mi się, że ogon cielęcy przyrósł do mego
ciała i że za pokutę będę musiał chodzić po
świecie na swój wstyd i hańbę z cielęcym o-
gonem. Na szczęście przybiegła moja matka
na ratunek. Wyrwała ojcu z rąk ogon cielęcy
ujęła mnie za rękę i odprowadziła do domu.
Przez tydzień chory nie mogłem się z domu
na świat pokazać. A potem długo jeszcze cier-
piałem od ludzi, którzy mi ciągle ogon cielęcy
przypominali. Oj! te cielęta! — cielęcy a ge-
nialny mój dowcip z cielętami!



Słabość ludzka.

Chory: Doktorze, febra mnie już opuściła.

Doktór: Tom poznał z pańskiej mowy, bo
jak było źle, toś pan mówił: kochany doktor-
ku, a teraz tylko: doktorze!